ROZMAITOŚCI.

W Sobotę **Nro. 120.** 19. Października 1822.

Nieco o Anglii.

(*Ciąg dalszy.*)

Ulice i rynki *(Sqaures.)*

Wszystkie ulice starego miasta Londynu *City*, maią cechę starożytności. Przedtém nie były brukowane, a na domach wisiało pełno wiéch i innych znaków nayniedorzecznieyszych; które przecie w późnieyszych czasach poznikały. Teraz po obu stronach wzniesionéy drogi, ciągną się przez ulice brukowane ścieżki, zasłaniaiące pieszych od mnóstwa powozów wszelkiego rodzaiu, które nieprzerwanie przez cały dzień snuią się po wszelkich ulicach.

Dzielnice Portman-Squar, Montaigu-Square i okolice między New-Road i Sunners-Town położone, niezmiernie powiększyły Londyn w przeciągu ostatnich lat dwudziestu. Wszędzie z wielkim kosztem równano ziemię i ulice rznięto podług sznura, aby oczom nastręczyć obszernego i w prawidła uiętego widoku; wszakże nie równie więcey zaymowałby widok téy części miasta, gdyby przez iednokształtność budowy domów i brak przyiemnych oczóm budowniczych ozdób, nie tracił tyle na swoiéy piękności.

W każdém mieście znayduią się rynki lub okolice przez ciekawych albo próżniaków bardziéy nad inne uczęszczane. Takiém mieysceym w Londynie iest okolica New-Bond-street, gdzie o godz. 12 w południe i o 4téy z południa schodzą się modnisie *(Dandys)* aby widzieli i byli widzianymi. Oprócz téy pory ieszcze przez trzy miesiące, to iest od początku Maia do końca Lipca, kiedy naywiększa iest ludność Londynu, niezliczone mnóstwo świetnych i bogatych powozów, iedzie bez końca po téy dzielnicy.

Wzniesione ścieżki starego miasta (*City*), którędy ledwo dwie osób razem iść może, ani porownane bydź mogą z ścieżkami w dzielnicy Neufs i Oxfordstreet, te albowiem są szérokie i kamiennemi płytami brukowane, a uchodząc za przyiemne mieysce do przechadzki, ochraniaią od przypadków i nieprzyiemności wynikaiących nieraz przez tłum toczących się powozów, lecz za to nie można się ustrzedz szturkańców w boki, których nie szczędzą przechodzący. Żyiący czas nieiaki w Londynie, gdy przybędzie do Paryża, żałuie słusznie, że na tę natarczywą zgraię przechodniów nie użył sprawiedliwego odwetu.

Oxford-street iest to iedna z nayobszérnieyszych i naywspanialszych ulic Londynu, którą porównać można z paryzkiemi bulewardami, gdyby wdłuż wyniesionych ścieżek, ciągnących się po obu stronach ulicy po pod domy szpalery z drzew zasadzone były, które nie czyniąc żadnego przechodniom uszczerbku, owszem swoim pięknym widokiem rozweselałyby oko.

Rynki tak zwane *Squares.*

Tak nazywaią w Londynie mieysca czworoboczne, domami zamknięte, które w różnych okolicach miasta znayduią się, i właściwemi są rynkami. Domy, takowe rynki tworzące, odróżniaią się lepszą budową od innych wewnątrz

)(

miasta będących i są bardzo przyiemne do mieszkania, ponieważ wiele rynków takowych użycza pięknego widoku. W środku ich znayduie się pospolicie murawa na roznokształtne kwatéry smakownie obsadzone drzewami, podzielona, i żelaznemi opasana kratami. Na wielu takich rynkach widzieć można ozdobne wodoskoki, wspaniałe posągi lub na koniach, lub też w innéy postawie wznoszącę się i t. p. lecz publiczność nié ma wolnego do nich wstępu, wszystkie atoli rodziny mieszkaiące w domach otaczaiących ie, maią do tych krat klucze i używaią w nich przechadzki. Wiele bardzo ulic prowadzi do tych rynków, i nastręcza nader przyiemnego widoku, zwłaszcza cudzoziemcowi, który w swoiéy oyczyznie tego rodzaiu ozdob miasta nie widział. Jednakże plac królewski w Paryżu, uważać można za doskonałą kopiią tego obrazu.

(*Ciąg dalszy nastąpi.*)

Blondyn z Namiur.

(*Ciąg dalszy.*)

Godziny naukowe.

Nakoniec czwartego dnia z rana, zaledwie pokazało się słońce, postanowił Le Blond odwiedzić swoię iaśminową altankę. Przystąpiwszy do okna uyrzał iuż w ogrodzie modniarki, nadobną postać Joasi przechadzaiącéy się w białym porannym ubiorze pzmiędzy drzewami. W mgnieniu oka z iéy książką w ręku pobiegł do swoich kwiatów i udawał iakoby ie zrywał, iednakowo schylaiąc się spoglądał ukradkiem na żywy kwiat po za altanką chodzący. Joasia zbliżyła się do altany i Blondyn także. Oboie pokazali sobie więźniów i zgodzili się na ich wymianę.

Wszedłszy iuż raz w rozmowę, zaczęli oboie narzekać na trudność ięzyków których mieli się uczyć. Litość iest młodych osób wrodzonym przymiotem; wysłuchawszy więc skarg wzaiemnych, przez litość podięli się oboie uczyć iedno drugiego. Pierwsza godzina po wschodzie słońca przeznaczoną była na lekcyie, a altanka z jasminu dla oboyga chciwych nauk, przydała się bardzo zamiast naukowéy sali.

Nie tracąc czasu przystąpiono natychmiast do lekcyi. Oboie siedli przy stole na ławeczce i wzięli książkę do ręki.

Bez wątpienia w pierwszych zaraz godzinach uczyniliby w obu ięzykach naylepsze postępy, gdyby nie siedzieli za nadto blisko przy sobie. Ale gdy przypadkiem Blondyn dotknął rękę Joasi, lub co gorsza, gdy się spotkały ich oczy, przerywał się mu natychmiast związek myśli, oddech ustawał; albo gdy przypadkiem Joasia czytaiąc książkę i wskazuiąc palcem słowa, dotknęła się niechcący dłoni Blondyna, tak iéy się coś działo osobliwego, że nie mogła doyrzeć żadnéy litery, lubo w rzeczy saméy na krótki wzrok skarzyć się niemogła.

W pierwszéy godzinie niemożna się obcego ięzyka odrazu nauczyć; obiecywano więc sobie daleko więcéy po drugiéy. W oboygu chęć do nauki była tak nadzwyczayną, tak przykładną, że nazaiutrz ieszcze przed wschodem słońca, zeszli się w altanie. Ale często zdarzało się, że nauczyciel mówił zupełnie od rzeczy, a uczeńniczka okazywała tak mało zdolnośsi, iż wskazywała czasem za nisko, czasem za wysoko na książce; wypadało więc koniecznie nauczycielowi, wziąć iéy rękę i postawić na wierszu należytym; ale skoro tylko iéy się dotknął, iakby czarodzieyską siłą tracił natychmiast pamięć, i oboie zapominali na czém stanęli. Umilkli, twarz ich płonęła iakby w gorączce, i zatapiali się w głębokie zamyślenie, pewnie dochodząc ducha ięzyka, którego się wzaiemnie nauczyć mieli.

Za trzecią godziną, iaka myśl sprawiedliwa, chcieli nagrodzić i poprawić to co w dwóch pierwszych opuścili lub zapomnięli. Aż dotąd sam tylko Blondyn dawał nauki, teraz Joasia miała zostać nauczycielką. Wyznał pokornie, że u-

cząc się sam, doszedł tylko do słowa *io amo*, i prosił nauczycielki, ażeby go wysłuchać raczyła, bo rozumiał że te czasowanie, iuż dość dobrze umié. Ażeby iednak odnosić wspólnie korzyść z nauki czasowania, prosił Joasi, aby każde iego słowo włoskie na francuzki ięzyk tłómaczyć raczyła.

Siedli więc na ławce, Blondyn odłożył książkę na bok, a chcąc raz na zawsze uwolnić się od wszelkiego roztargnienia, uważał, że to będzie rzeczą daleko rozsądnieyszą, gdy w swoie dłonie weźmie rękę nauczycielki, ażeby się iéy przypadkiem niedotykał. Słodkie drzenie przeięło nauczycielkę za dotknięciem ręki, ale na iéy szczęście niedostrzegł tego uczeń, doznaiąc podobnegoż uczucia.

Po długiém milczeniu, które się przecież dla nich oboyga bardzo krótkiém zdawało, zaczął nakoniec Blondyn lekcyią swoię: »czas teraźnieyszy; *io amo.*« — Dobrze, że mógł odetchnąć oczekuiąc na tłumaczenie, bo iużby ani słowa wyrzec niepotrafił.

Joasia zarumieniła się, a spuszczaiąc oczy, przetłumaczyła to słowo włoskie na francuzkie, i rzekła po cichu: »*J'aime.*« —

Długo czekała nim Blondynek przyyść mógł do słowa, i zaledwie mógł wyrzec głosem iąkliwym: »*Tu am*«

Joasia stłumiła westchnienie i rzekła: »*Tu aimes.*«

On rzekł daléy, przykładaiąc mimowolnie iéy rękę do serca: »*Egli ama*«

»*Il aime*« dodała Joasia prędko i ukradkiem spoyrzała na niego. Blondyn trzymał ieszcze iéy rękę na sercu, a zapomniawszy zupełnie o ięzyku włoskim, zawołał z uniesieniem: *Nous aimons.*«

„To nie tak — rekła nauczycielka — trzeba to powiedzieć po włosku.“

Blondyn spoyrzał w iéy czarne oko i powiedział głosem pytaiącym: »*Nous aimons?*«

Zaglądanie w oczy iest wcale niepomocne do nauki. Joasia zapomniawszy się odpowiedziała: »*Nous aimons*« ale prędko się spostrzegła i napominała go znowu, że źle mówił.

»Jednakże to nie grzech, rzekł Blondyn i przyłożył iéy drzącą rękę do ust rozognionych.

Na takie dowody nie miała co odpowiedzieć. Była przecież niespokoyną pewnie o to, że nauka ięzyków szła w zaniedbanie. Długo, w milczeniu, siedzieli przy sobie, a gdy się ich oczy spotkały, usta powtórzyły z niechcenia: »*Nous aimons.*«

Podczas téy lekcyi nie nauczyli się więcéy; ale oboie bardzo wiele poięli, bo serca ich przemawiały do siebie inszą mową, która przecież nie była ani włoską, ani francuzką. Dwie godziny trwała ta trzecia lekcyia, lubo iedno i drugie wiedziało, że się rozłączyć trzeba.

(Ciag dalszy nastapi.)

O Słoniu.

(Ciag dalszy.)

Niezgrabne nogi podobne mocnym słupom, miewaią wysokość i grubość rosłego człeka. I dla tego koń średniéy miary po pod słonia nie tknąwszy go przeyść może. Widać, lubo nie bardzo wyraźnie po 5 palców u nóg przednich, a po 3 u tylnych. Rosną mu pospolicie w 10tym dopiero roku, a podeszew stopy iego, którą łokciowy blisko ślad wyciska, ma do rogu podobną powłokę.— Krótki ogón szerszcią obficie porosły, kończy kita włosów, albo raczéy iak z drutu żelaznego kolców.

Słoń ma tylko 10 zębów. Z tych uwagi naygodnieysze są kły w spodniéy szczece. Nie sterczą, ale idą w poziomym prawie kierunku. Nie iednakiéy obadwa wielkości, z prawéy strony zawsze nieco większy. U młodych zupełnie wydrążone. Dopiéro z laty wypełniaią się, nigdy iednak całkowicie. Wielkości zupełnéy dochodzą dopiero w 30 lub 40 roku życia iego i wtedy bywaią kilka stóp długie a do 150 funtów ciężkie, częstokroć dla tego tak mu są

)(2

uciążliwe, iż niemi w ścianach swoiego więzienia wierci, w celu ich pozbycia się i ulżenia ciężaru głowie. Nie zawsze są białe zęby słoniowe, bywaią i szare, oliwkowe albo żółte; kość słoniowa powszechnie zółknie prędko, ale na powietrzu i słońcu odzyskuie łatwo białość.

Na wielkość i ogrom słonia wielki wpływ ma oyczyzna iego, pobyt, pokarm i życia sposób. Dorosły słoń Azyi miéwa wysokości 8, długości 10 i więcéy łokci, a waży 100 — 120 centnarów. Z 12 owych słoniów, które perski Szach Nadir, Rossyiskiéy Imperatorowy darował, dwa były 17 stóp wysokie. Młody, którego w St. Gallen ważono, 70 miał cetnarów. Nie zawsze, słonie iednakiéy maści, naypowszechniéy czarniawo popielatéy; są iednak i gniadéy, iasno popielatéy, czerwoniawéy i białéy. Dwa ostatnie rodzaie atoli bywaią rzadkie. W Ceylonie trafiaią się czasem i ps re. — Skóra słonia nie pokryta włosem, pełna marszczków, podobnie do kory starego dębu.

Mimo ogromnego ciężaru swego zadziwiaiącą posiada szybkość w biegu i zręczność w pływaniu. Ziemia drzy pod krokami iego, które iuż z daleka słyszeć się daią. Odbywa podróże krocząc lub kłusem w przeciągu dnia iednego, iakie inne źwierzęta w dniach kilku. Zwyczayny bieg iego zawsze prawie kłus i równa się końskiemu czwałowi. Bez wszelkiego natężenia uchodzi 10 mil na dzień, baczny na każde podeyrzane mieysce, chroni się mądry ten źwiérz wszelkiego narażania na niebezpieczeństwa. Szczęściem dla myśliwych, szybkość iego nie iest im szkodliwa, że mu nader trudno obracać się i tak z góry schodzić, iak na góre wychodzić. Łatwością, z iaką płynie, służy podróżnym za ruchomy na rzece most czyli prom. Przebywaiąc wodę, ładuią nań wszystko, a sami pochwytawszy się uszów i ogona przepływaią ze słoniem, który wzniosłszy swą trąbę płynie bezpiecznie przez naygwałtownieysze rzéki.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z Odessy. (*Ciąg dalszy.*) — Ze świtem dnia następuiącego 13./25. Maia stanęliśmy w miescie Dubossary. Składa się ono z nieznaczney liczby niepokaźnych domów, a na innych mieyscach wsie są świetnieysze. Dubossary nie przeto nazywa się miastem, że takie ma budynki, iakie raczéy po miastach, niżeli po wsiach znaydować się zwykły, ale dla tego, że iest siedliskiem sądu i władz różnych i że mieszkańcy trudnią się mieyskiemi rzemiosłami. — Wydarzyło się, że powóz nasz małéy potrzebował naprawy. Parobek pocztowy zaprowadził nas przed dom, z którego w piérwszém zaraniu wyszedł zaspany wprawdzie, wszelako gotowy na wszelkie zawołanie cygan. Był to kowal, którém to rzemiosłem tutay bawią się szczególnie cyganie. Oglądnąwszy zepsute mieysce wyniósł z domu niemało starego żelaziwa i ręczne kowadło, rozniecił mały ogień i zaczął zwoię robotę z taką naturalnością sztuki i narzędzi, nad którą byłby się sam Robinson zdumiewał. Biciem młota obudziła się cała rodzina, niezabawem wyszły żona, córka, niewymownie piękna dziewczyna, i para małych chłopaków. Sniadaniałem przy powozie tak dobrze, iak tylko było można. Patrzyłem się na skromne iedzenie téy cygańskiéy rodziny, od którego wstawała z podobnemi okolicznościami i potrzebami, z iakiemi przyzwyczaieni iesteśmy widzieć nasze domowe zwierzęta, zrywaiące się z ich nocnego posłania. Jak na szczęście zepsucie powozu nie było zbyt wielkie, zaś Cygan to tylko przymocował, co było naypotrzebnieysze.

Niedaleko od Dubossary iest miasteczko Grigoriopol zamieszkałe od handluiących Ormian i Greków. Licznie krzyżuie się tu nowo powstała ludność. Przeieżdzaiąc stanęliśmy przy sklepach, gdzie przedawano zdolne do ieżdzenia rzeczy i wino. Jedliśmy na stołach przed budą, to, co nam usłużny przyniósł posługacz i przypatrywalismy się towarzystwu Ormian siedzących w sklepie na dywanach z założonemi na krzyż nogami i graiących w karty bardzo poważnie, nie mówiąc prawie ani słowa. Skoro posługuiący Ormianin naprzynosił nam rożnych rzeczy to z kuchni, to z piewnicy, siadł sobie razem z tamtymi, przypatrywał się i palił swoię zostawioną lulkę.

Redakcyia F. Krattera. — Drukiem J. Pillera.